

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

6. POWIEŚĆ.

— A wle pani jakie skutki z tego wynikną? Dyrektor zniechęci się, z początku będzie panią upominał, potem rozgniewa się, a w końcu — no niech pani sobie sama koniec w duszy dośpiewa...

Spojrzała na niego z niepokojem, przesadzał trochę, ale odgadywał. Dyrektor, który jej tę posadę wyrobił, był z niej niezadowolony, czuła to w jego postępowaniu, chociaż jej dotąd nic nie powiedział, prócz nawiasowego upomnienia, aby sobie z dziećmi energiczniej poczyniała.

— Tak jest — mówił dalej pan Władysław rad z odniesionego wrażenia — musi pani choć trochę postarzyć, nabrać pychy i zarozumiałości, jednym słowem stać się podobną do naszej Wandzi, jeżeli chce pani cieszyć się taką powagą i uznaniem jak ona.

— Ach ja tego nigdy nie nabędę — westchnęła Celina.

— Czego pani nie nabędzie — zapytał pan Władysław z filuternym uśmiechem.

— Tej pewności siebie.

— Nie dziw — odparł poważnie — nie chodziła pani do seminarium! Po skończeniu tych wysokich kursów jest się dopiero rozumna, a po zdaniu egzaminu wydziałowego przerasta się wszystkich mędrców i filozofów.

— Wanda już dłużej nie mogła wytrzymać, wstała gwałtownie, odrzucając z hałasem krzesło, gdy zabrzmiał głos pani Domejkowej:

— Dzieci! chodźcie na kolację, a ty Władziu — dodała zbliżając się — mógłbyś się przywitać z matką bez mego przypomnienia...

— A gdzież będę mamy szukał — odparł niechętnie — w kuchni niema, w pokoju niema, przychodzę tutaj na wypoczynek, a nie na łatanie.

— Wiem ja wiem, że to za wielka pretensja z mojej strony — mówiła z gniewem — chciałbyś może, żebym ja wybiegła naprzeciw ciębie, a może i w rękę cię pocałowała! Czegóżcieście znowu zasiedli w bawialnym pokoju — dodała z oburzeniem — wiecie, że wszystko sama muszę robić, sług niema do czyszczenia dywana i podłóg.

— Przestańże mama z tym bawialnym pokojem — rzekł pan Władysław przechodząc do drugiego pokoju i zasiadając do kolacji. — Nikt w domu nie bywa i dla jakiejś fantazyi jedyny dobry pokój stoi pustką. Zdejmcie ten kwiecisty gałgan, który dywanem nazywacie i używajcie całego mieszkania. Dusić się w takiej ciupie — dodał spoglądając pogardliwie na wązki pokój — to dalibóg zbrodnia przeciw hygienie.

— Mój Władziu — rzekła matka, pomijając milczeniem wszystkie zarzuty, a podnosząc tylko jeden podług niej najważniejszy — powtarzasz ciągle, że nikt u nas nie bywa, a któż temu winien? Czy nie mógłbyś zaprosić kogoś czasami, nie dla jakichś tam zamiarów, ale o po prostu, aby się dziewczęta trochę zabawiły, jesteś przecie bratem i jedynym mężczyzną w domu, a czy pomyślisz o tem?

— Racya, po cóż mam kogo ciągnąć? Żeby chociaż były inne, ale zle to, brzydkie i ubogie. Cóżby robił z nimi początkujący lekarz, który częściej sam niema co do głowy włożyć. Zresztą choćbym przyprowadził jakiego wygłodzonego ucznia Eskulapa, to i tak *maminem* córkom nicby z tego nie przyszło, wierzę, że *teraz* odwiedzanoby chętnie nasz dom — dodał z filuternym uśmiechem spoglądając w stronę Celiny.

— Na co też mama stawia, jakieś żądania temu Władkowi — p rzerała Wanda gniewnie — wie mama jakim jest gburem i jak mało go obchodzi, przychodził tylko do domu, aby zjeść i wykić się.

— Wy za to żyjecie ze sobą w biblijnej zgodzie — zaśmiał się młodzieniec ironicznie, zapychając sobie usta chlebem — ale czemu to p. Jadwiga taka milcząca — zawołał po chwili, przenosząc drwiący wzrok na drugą z kolei siostrę — czy nie zjawił się jaki nowy wielbiciel?

— Myślałam, że choć mnie dasz spokój — odparła wyniośle Jadwiga — ale ty podobno nie

spalbyś w nocy, gdybyś nas wszystkich nie porażnił.

— Mówię ci ser o, że brat panny Mani, tej blondyneczki, której udzielasz rysunków, pytał się mnie kilka razy o ciebie — zapewniał z powagą.

— Pan Henryk? ależ ja go prawie nie widuję.

— To nic nie szkodzi, uwielbia cię na dystans! Nie przeczuwasz nawet, jakie zadajesz rany twą wiotką kibicją i małemi oczkami.

— Czy mama słyszy, co on gada! — zawołała w najwyższej pasyi Jadwiga — zapowiadam mamie, że jak on nie przestanie nam dokuczać, to się z domu wyniosę, dosyć już mam tego!

W kilka tygodni później w niedzielę, w znany nam bawialnym pokoju p. Domejkowej, uporządkowanym starannie, o południowej godzinie, siedziały Jadwiga z Celiną, jedna przy oknie wychodzącym na hałaśliwe podwórko, a druga na kanapie, rozmarzonym wzrokiem blądząc po suficie.

— Moja Cesiu spojrzij raz jeszcze przez okno — mówiła Jadwiga głosem niezwykle łagodnym.

— Nikogo nie widać — odparła Celina, wychylając za mętne szyby swoją świeżą twarzyczkę — ale powiedzże mi raz, kto to ma przyjść?

— Nie powiem, aż sama zobaczysz.

— No to niech przynajmniej się dowiem, czy to mężczyzna, czy kobieta?

— Jakaś ty naiwna! Dla kobiety ubierałabym się w moją najlepszą suknię, dla kobiety płaciłabym drogi obiad z restauracji, aby tutaj, gdzie jest tylko jedno wejście, swądu nie było, dla kobiety wreszcie doznawałabym tego niepokoju i bicia serca? Rada jestem, że wyprawiłam mamę z Wandą, boję się ich szyderstwa w razie... rozczarowania.

— Jakto, nie powiedziałaś mamie?

— A to na co, żeby mnie wysmiewała?

— Mama — — —

— A tak, mama, mama! Niby jej nie znasz, jak wpadnie w złość, to nic dla niej niema świętego.

— Nie pojmuję, jak możesz wtajemniczać mnie, pomijając swoich najbliższych — zauważyła Celina oschłym tonem.

— Ach ty to co innego! wiem, że ani mnie wysmiejesz ani zdradzisz, za dobroduszną jesteś na to.

— Czyli innemi słowy za głupia...

— Co za przypuszczenie — rzekła Jadwiga, wrzeszcząc ramięmi — wyjrzyjno raz jeszcze — dodała po chwili — mnie nie wypada, ręczę, że idąc, będzie patrzył do okna.

— Nikogo nie widać — powtórzyła Celina, posłusznie wychylając się za okno — czy ci powiedział, że przyjdzie? — zapytała rozciekawiona.

— Naturalnie! Zresztą spodziewałam się tego od czasu, gdy nam Władek opowiadał, że on tak szuka jego znajomości. Spostrzegłam go także w niedzielę w kościele, stał w tłumie niedaleko naszych ławek, nie spuszczał nas z oka.

— Czy był i tamtej niedzieli? Szkoda, żeś mi go nie pokazała.

— Nie chciałam z nikim dzielić się moją słodką tajemnicą — odparła Jadwiga sentymentalnie. — Widać jednak sprzykrzyło mu się podpatrywanie z daleka — mówiła dalej z ożywieniem — wczoraj bowiem, kiedy wychodziliśmy z Władkiem z teatru, przyłączył się do nas i odprowadził nas do domu. W końcu, żegnając się, zapytał: Czy pozwolą państwo, abym w domu złożył moje uszanowanie? — Na co Władek odpowiedział ze zwykłą sobie gburowatością: — Oto stoi reprezentantka domu, mnie nic do tego! — Tak byłam zmieszana, że już nie wiem co odpowiedziałam, ale wziął to za przyzwolenie i dlatego oczekuję go dzisiaj.

— Nie rozumiem tylko, jak możesz brać to wszystko do siebie, do kościoła np. chodziliśmy wszystkie — zauważyła Celina.

— To dobre, a do kogoż mam brać? — zauważyła Jadwiga śmiejąc się — przecież nie do Wandy, bo brzydka i prawdę powiedziawszy nie pierwszej młodości, ani też do ciebie, boś za wielkim dzieciakiem. Nie uważasz nigdy na to, jakie robisz wrażenie, jak wyglądasz! Jesteś znadto szczerą, prostą, nic niema w tobie skomplikowanego. A mężczyźni żądają zagadki, siłki, pragną zdobywać i chcą, żeby zwycięstwo nie przyszło im łatwo. A ty tego wszystkiego nie potrafisz.

— A czyż ja chcę, czy to warto? — odparła Celina lekceważąco — mnie co innego w głowie i cel mój inny.

— A dalej — mówiła Jadwiga nie zważając na przerwę — kogo odprowadzał, komu oświadczył chęć bywania w domu? no powiedz, powiedz sama.

— Ależ i owszem, ja nie pojmuję, co mi tam do tego! A jak wieje od tego okna — dodała krzywiąc się — siadę chyba w tamtym zacisznym kąciuku.

— Dobrze — odparła Jadwiga z rozlęgnięciem — zobaczysz, jaką ja zazdrość obudzę, gdy się to rozgłosi — ciągnęła dalej z tryumfującym uśmiechem — może będę wkrótce karetą jeździła, ale cicho, słyszę kroki. Moja droga nie miesza się do rozmowy, możesz nawet wyjść, ale nie, lepiej zostań i nie ruszaj się ze swego miejsca.

Na dalsze instrukcje nie było już czasu, w progu ukazała się smukła, wysoka postać. Celinaomal nie krzyknęła — poznając pana Wirskiego.

Udane żdziwienie Jadwigi i potok wymowy jakim przywitała wchodzącego, pozwoliły Celinie przypaść mu się uważniej. Wydał jej się jakimś starszym, poważniejszym, a widok jego nie był wcale tak nieznośnym jak dawniej. Pewnie już jest po słowie z panną Klarą, rzekła do siebie, ale wnet przypomniała sobie nadzieje Jadwigi i uczuła niesmak, zawsze ten sam motylek, pomyślała z szyderstwem.

Tymczasem Jadwiga mówiła nieprzerwanie, można było utonąć w tym potoku doborowych słów i poprawnych zwrotów. Pan Michał usiadł naprzeciw lustro i spoglądał weń co chwila.

— Żaluję mocno, że nie zastał pan mamy — mówiła Jadwiga — o tej porze jest zawsze w kościele.

— Ja zaś naumyślnie wybrałem ten dzień, aby paniom nie przeszkadzać — ozwał się pan Michał.

— Tem niech się pan nie kępuje! wieczory mamy zawsze wolne i jeżeli nas pan kiedy odwiedzi, to się pan przekona, jak wesoło spędzamy je po sumiennem wypełnieniu całodziennej obowiązków. Najwyższa rozkosz to: praca i kochająca rodzina! — zakończyła patetycznym wykrzyknikiem.

Celina słuchała z głębokim zdziwieniem! nieprzyzwyczajona do kłamstw towarzyskich, zdumiona była słowami Jagwigi.

Pan Michał zadowolili się jakimś niewyraźnym mruknieniem, a Jagwiga ciągnęła dalej:

— Wprawdzie do tak ścisłego familijnego kółka niechętnie dopuszczamy obcych i nawet z tego powodu mamy niejedną sprzeczkę z naszym pocziwym bratem, który chciałby, żebyśmy się zabawiły, ale...

— Czego on tak w to lustro patrzy — myślała Celina — czy byłby tak próżnym? nigdy tego w nim nie zauważyłam — podniosła się trochę zaglądając do zwierciadła i ujrzała w niem odbitą twarz swoją. W tej chwili i pan Michał się odwrócił.

— Przestraszyłaś mię Cesiu — zawołała niezmięszana Jadwiga — zagadawszy się zapomniałam o twej obecności, zapewne nie znasz, pan mecenas Mirski.

Celina ułoniła się z powagą, jak gdyby go po raz pierwszy widziała, na co podobnie odpowiedział p. Michał.

Nadejście p. Domejkowej, zdziwionej i uradowanej tyle obiecującym gościem, nadało inny klerunek rozmowie. Z ciasnego kółka osoblistych pochwał, przeszła na szersze pole wychwalania familii. Długo zatrzymano się nad koligacją ze znanym i bogatym chirurgiem dr. Sławuckim. Był on dalekim krewnym p. Domejkowej, stałe jednak przez nią bratem nazywany. Dawało pewne oparcie towarzyskie, a odbłask bogactwa i dystynkcji spadał i na nią. Wprawdzie dr. Sławicki nigdy prawie u niej nie bywał, a cała serdeczność jego ograniczała się na zaproszeniu kiedy niekiedy do siebie, prowadził bowiem dom otwarty dla córki jedynaczki, ludzie jednak o tem nie wiedzieli, a pani Domejkowej chodziło jedynie o ludzi.

Wreszcie skończyła się ta wizyta ku wielkiej radości Celiny, obawiającej się, aby jakimś sposobem nie wydała się jej znajomość z p. Michałem. Postanowiła sobie uciekać z domu, ile razy tutaj przyjdzie, nierada, że znowu spotyka go na swej drodze. Przedsięwzięcie to ułatwiła wielce znajomość, zawarła w tym czasie z p. Heleną Sławucką.

(Ciąg dalszy nastąpi)